№ 27.

OPIEKUN DOMOWY

ROK VII.

Serja Druga.

Bióro Redakcyi przy ulicy Chmielnéj blizko Nowego Światu Nr. 1260D (3 nowy) w Warszawie.

Opiekun Domowy wychodzi raz w tydzień co Środa. — Prenumeratorowie z prowincyi, raczą nadsyłać przedpłatę wprost do Redakcyi, a to w celu uniknienia zawodu w odbiorze naszego pisma.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop 33¾). **Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie*, w księgarni Ferdynanda **Hösicka**, Ulica Senatorska Nr. 496, *w Poznaniu* **u Leitgebera**, — *we Lwowie* u **Wilda Karola**, *w Żytomierzu u* **Budkiewicza** księgarza.

Warszawa, dnia 23 Czerwca / 5 Lipca **1871 roku.**

JÓZEF RYCHTER.

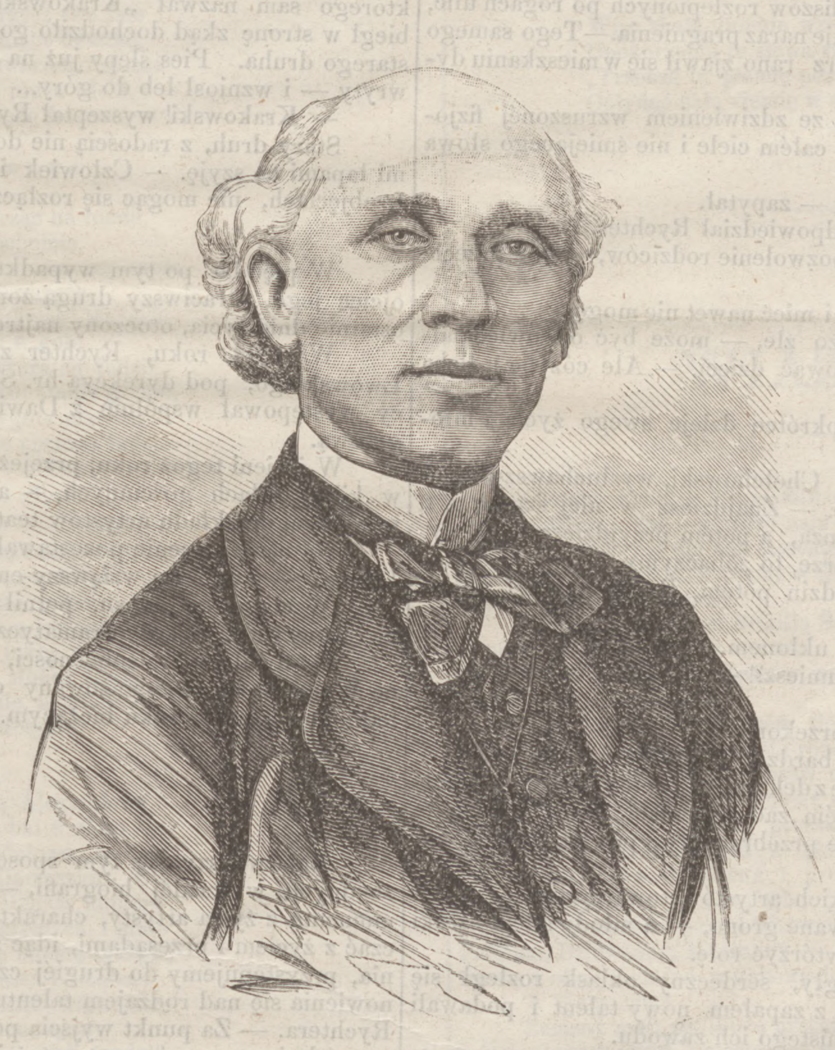
Talent każdego artysty w rozwoju swym ulega koniecznym wpływom ogólnych pojęć i wyobrażeń czasu. Życie całe jest szeregiem nieustających wrażeń, nadających myślom i uczuciom jednostki pewien kierunek, którego z góry żadna siła intelligencyi przewidzieć nie zdoła.—Artysta, obdarzony od natury wrażliwszą organizacyą, silniéj jeszcze niż inni ludzie podlega wrażeniom chwili.—Każdy ból, każde cierpienie, niesprawiedliwość, krzywdy, rozkosze i zachwyty odbijają się w jego duszy, a przenikając do myśli i fantazyi nadają dziełom przez niego stworzonym takie lub inne tło.

Dla tego nie pojmujemy rzeczywistéj oceny wszelkich dzieł sztuki, bez dokładnego zbadania warunków wśród których się one tworzyły. — Nie można zrozumieć dokładnie utworów poety, malarza lub muzyka, bez dokładnego wtajemniczenia się w historyą ich życia, — otaczającéj ich atmosfery i ogólnego stanu rozwoju sztuki, któréj byli przedstawicielami.

Wszystko, cośmy powiedzieli wyżéj, stosuje się z równą przynajmniéj, jeżeli nie większą siłą do artystów dramatycznych. — Aktor jest krytykiem twórczym. — Tłumaczy myśl poety, nadając jéj kształty żywe, widome, dotykalne, całym massom przystępne. — Wyraża idee w czynach. — Potęgą giestu, siłą spojrzenia, dźwiękiem głosu, krwią i łzami odtwarza uczucia które pieściły duszę poety w chwili tworzenia. — Jest żyjącym komentarzem arcydzieł.

Twórczość aktora polega na wynalezieniu najpiękniejszych i najprawdziwszych zarazem form, jakiemi uczucia i namiętności ludzkie w życiu przejawiać się zwykły. — Sama zatem natura sztuki czyni talent jego zawisłym, przedewszystkiém, od rozwoju poezyi dramatycznéj w ogóle, — daléj od kierunku sceny, z któréj przemawia, wreszcie od publiczności, przed którą występuje.

Najpotężniejszy talent sceniczny rozbić się musi o nagie skały sztuk jałowych — organizacyi teatru, mającéj na celu hołdowanie instynktom tłumów, i obojętność publiczności, niezdolnéj do przyjmowania wyższych estetycznych wrażeń.



Józef Rychter.

Dla tych właśnie przyczyn, określając działalność artysty dramatycznego, należałoby przeprowadzić ścisłą paralellę pomiędzy nim a sceną, na któréj występował, — zestawić zasoby wewnętrzne talentu z warunkami jakie napotkał, śledzić kierunek przez niego obrany i wszystkie pojedyncze jego zboczenia. — Nanieszczęście do takiego studium brak nam dziś jeszcze materjałów. — Przystępując zatém do scharakteryzowania j e d n e g o z najwybitniejszych talentów naszéj sceny, musimy ograniczyć się na skromnym szkicu, w którym wszystkie powyższe względy tylko pobieżnie natrąconymi być mogą.

Józef Rychter urodził się w mieście powiatowém Kraśniku, gubernii Lubelskiéj, dnia 9 Września 1820 roku. — Ojciec przeznaczył go do zawodu aptekarskiego, któremu sam się poświęcał. — Nauki pobierał Rychter początkowo w Lublinie, następnie w gimnazjum imienia Zamojskich, w Szczebrzeszynie. — Będąc uczniem klassy 3-éj, pierwszy raz w życiu znalazł się w teatrze, na przedstawieniu truppy prowincyonalnéj. — Wrażenie wyniesione z tego widowiska silnie wyryło się w młodéj jego wyobraźni. — Od tego czasu Rychter śnił tylko o teatrze, a wszystkie chwile wolne poświęcał urządzaniu doraźnych przedstawień amatorskich, z współudziałem szkolnych kolegów.

Wkrótce jednak smutne okoliczności familijne oderwały Rychtera od zajęć naukowych i wtrąciły w twardą dolę pracy około powszedniego chleba. — Dwa lata pozostawały mu jeszcze do ukończenia szkół kiedy stracił matkę. Ojciec zawarłszy nowe związki

małżeńskie powołał syna do domu, ażeby złożyć w jego ręce zarząd nad apteką i całém gospodarstwem.

Były to najcięższe i najsmutniejsze chwile młodości artysty.— Pozbawiony wszelkiego pokarmu dla uczucia i wyobraźni, przykuty do zajęć nieodpowiednich zupełnie jego naturze i usposobieniom, prześladowany przez macochę, zaniedbany przez ojca, przepędził dwa długie lata cierpień, tém sroższych, że żadnéj nadziei wyzwolenie się z nich nie widział.

Myśl jednak o teatrze krążyła ciągle w głowie Rychtera, krzepiąc siły do pracy i przyświecając jego wyobraźni, jakby jakieś nieujęte a promienne marzenie. Nieraz, kręcąc pigułki po całych godzinach, snuł w duszy postacie bohaterów, rycerzy w złocistych szyszakach, kochanków i zbrodniarzy.

Sztuka, któréj namaszczenie nosił w duszy, dobijała się o swoje prawa. — Czuł, że życie jakie prowadzi, jest mu ciężarem nie do zniesienia, — a brakło mu siły do wydobycia się z narzuconych więzów.

Pojawiające się coraz częściéj na horyzoncie rodzinnym burze, zmusiły nareszcie Rychtera do opuszczenia ojcowskiego domu. — Pewnego pięknego poranku, z małym tłomoczkiem na plecach, wyszedł pieszo w świat szeroki posiadając za cały majątek 18 lat skończonych i szczery zapał młodego serca.

Po dwóch dniach podróży dostał się do Lublina, gdzie znalazł czasowy przybytek u stryja. — Nie chcąc jednak być na łasce niezamożnego krewnego, czekał tylko sposobnéj chwili ażeby oddać się jakiéj pracy, zapewniającéj byt niezależny.

W tym właśnie czasie przybyło do Lublina najlepsze z ówczesnych towarzystw dramatycznych prowincyonalnych, pod dyrekcyą Chełchowskiego. — Na widok afiszów rozlepionych po rogach ulic, w Rychterze obudziły się wszystkie naraz pragnienia.—Tego samego wieczora był w teatrze, a nazajutrz rano zjawił się w mieszkaniu dyrektora.

Staruszek przypatrywał się ze zdziwieniem wzruszonéj fizjonomii młodzieńca, drżącego na całém ciele i nie śmiejącego słowa wymówić.

— Czego żądasz chłopcze? — zapytał.

— Wstąpić do teatru — odpowiedział Rychter.

— A czy masz kochanku pozwolenie rodziców, — boć przecie jesteś małoletni?.

— Nie mam p. dyrektorze i mieć nawet nie mogę...

— Hm! -- to źle, to bardzo źle, — może być odpowiedzialność, — nie mam prawa przyjmować dzieci. — Ale cóż cię u licha tak ciągnie do sceny?

Suplikant odpowiedział pokrótce dzieje swego życia i młodzieńczych marzeń.

— No, mój drogi — rzekł Chełchowski, wysłuchawszy opowiadania — weź tę oto książkę. — Znajdziesz w niéj sztukę p. t. Precjoza. — Naucz się roli Alonza, a potém przyjdziesz mi ją wyrecytować. — Jeżeli pójdzie dobrze, to zobaczymy.

W dwadzieścia cztery godzin potém, Rychter stanął po raz drugi w gabinecie dyrektora.

— Umiem rolę — rzekł z ukłonem.

— Co? rolę Alonza, już umiesz?! — zawołał Chełchowski — ależ to być nie może!—

— Niech się p. dyrektor przekona. —

— No — ciekawy jestem bardzo, — proszę mówić.

Rychter wygłosił całą rolę z deklamacyą pełną ognia. — Chełchowski słuchał go z widocznem zadowoleniem, potakując ciągle głową, — a gdy ostatnie wiersze przebrzmiały w powietrzu, zadzwonił na służącego.

— Poprosić mi tu wszystkich artystów towarzystwa — rzekł.

Po chwili zebrało się wezwane grono, — a młody adept sztuki musiał na żądanie dyrektora powtórzyć rolę.

Kiedy skończył, przeciągły, serdeczny oklask rozległ się w sali. Przyszli koledzy witali z zapałem nowy talent i podawali dłoń zachęty towarzyszowi ciernistego ich zawodu.

Od téj chwili Rychter zaliczonym został do towarzystwa Chełchowskiego, — z gażą 40 złp. miesięcznie, — na stole i stancyi dyrektora.

Wystąpił pierwszy raz w Lublinie, dnia 18 Października 1838 roku, w roli jednego ze zbójców, z dramatu Raupacha p. t. „Robert Djabeł."

Z towarzystwem Chełchowskiego przybył wkrótce potém Rychter do Krakowa, gdzie talent jego szybko rozwinął się i spotężniał. — Pracując gorliwie pod kierunkiem znakomitéj artystki Palczewskiéj, dzień każdy znaczył nowymi dowodami postępu w zawodzie scenicznym.

W krótkim też przeciągu czasu, dyrekcja, krytyka i publiczność oceniały już Rychtera jako pierwszorzędnego artystę. Laury i oklaski obficie spływały na młodą jego głowę. — Spotykały go nawet niespodzianki, zdarzające się tylko rzadkim wybranym.

W Ruy Blasie, Wiktora Hugo — Rychter grał rolę don Sallustia. Potworny ten charakter umiał uwydatnić tak silnemi barwami, że w akcie 4-ym, jeden z widzów, porwany potęgą gry, zapomniał iż akcya odbywa się na scenie, — a sądząc że widzi przed sobą najprawdziwszą rzeczywistość, wrzasnął na całe gardło:

— Do więzienia tego łotra!

Działo się to w epoce najświetniejszego rozwoju teatru Krakowskiego, kiedy po Chełchowskim objął dyrekcją Meciszewski, a w personelu towarzystwa znajdowali się tacy artyści jak Palczewska, Królikowski i Rychter. —

Po ochłonięciu z pierwszego upojenia sławy, Rychter zatęsknił znowu do rodzinnego ogniska. Zapragnął zobaczyć jeszcze te strony w których się urodził — i ojca z którym rozdzieliły go nieszczęśliwe okoliczności.

Kiedy stanął przed domem, od tak dawna niewidzianym, uczuł dziwną radość. — Chciał dostać się prędzéj wewnątrz, - zobaczyć czy wszystko stoi na swojém miejscu, zajrzeć w każdy zakątek. — Ale w chwili gdy zbliżał się już ku drzwiom, na progu stanął ojciec wyprostowany i groźny, — mówiąc sucho:

— Proszę nie wchodzić! — Ja nie chcę znać żadnych komedjantów!...

Artysta odchodził zwolna ze spuszczoną głową, tłumiąc łzy, co mu się gwałtem do oczu cisnęły. — Nagle — usłyszał żałosne wycie psa na dziedzińcu. Po głosie poznał dawnego towarzysza lat dziecięcych, ulubieńca i wychowańca swego, — pudla, którego sam nazwał „Krakowskim," — Drżąc ze wzruszenia, pobiegł w stronę zkąd dochodziło go wycie, i zaczął wołać po imieniu starego druha. Pies ślepy już na oba oczy, przybiegł, stanął jak wryty — i wzniósł łeb do góry...

— Krakowski! wyszeptał Rychter.

Stary druh, z radością nie do opisania, rzucił mu się przedniemi łapami na szyję. — Człowiek i zwierzę trzymali się tak długo w objęciach, nie mogąc się rozłączyć.... (*)

W pięć lat po tym wypadku, już po ożenieniu się artysty, — ojciec jego, straciwszy drugą żonę, — zamieszkał u syna i przeżył ostatnie dnie życia, otoczony najtroskliwszą opieką...

W 1844 roku, Rychter zaangażowanym został do teatru Lwowskiego, pod dyrekcyą hr. Skarbka, gdzie przez kilka miesięcy występował wspólnie z Dawisonem, Smochowskim i Aszpergerową.

W jesieni tegoż roku, przejeżdżając przez Warszawę, wystąpił w kilku rolach gościnnych, — a w parę miesięcy później został przyjętym do składu artystów teatrów Warszawskich.

Na naszéj scenie pozostawał przez lat 24, — to jest, do końca 1869 r., — w którym wziąwszy emeryturę, opuścił deski teatralne.

W ciągu tego czasu, pełnił przez lat kilka obowiązki reżysera i nauczyciela Szkoły dramatycznéj.

Po dwuletniéj nieobecności, Rychter powrócił znowu na scenę Warszawską, zaangażowany do gościnnych wystąpień, podczas letniego sezonu w roku bieżącym.

* * *

Załatwiwszy się tym sposobem z szeregiem dat i faktów niezbędnych w każdéj biografii, — streściwszy najbardziéj wybitne momenta z życia artysty, charakteryzujące walkę jaką musiał staczać z życiem i przesądami, idąc za głosem wewnętrznego powołania, przystępujemy do drugiéj części tego szkicu, to jest, do zastanowienia się nad rodzajem talentu i donosłością zasług scenicznych Rychtera. — Za punkt wyjścia posłuży nam zdanie wygłoszone o początkującym naówczas artyście, w dziełku Hilarego Meciszewskiego p. t. „Uwagi o teatrze Krakowskim" (Kraków 1843 r.)

(Dokończenie nastąpi.)

(*) Wszystkie szczegóły téj biografii, czerpane są z opowiadania samego artysty. — Przyp. aut.

Z MOSSULU DO BIR.

Lebid ben Amru potomek Chucza,
W ten sposób błędnych ludzi naucza. —

* * *

Ludzie!... w ogrodzie świata, w Djadynie
Pienistym nurtem bystry Frat płynie,
Rwie dumne brzegi i huczy falą,
A łomy nad nim z trzaskiem się walą.

Tylko wyrosła z łona topieli
Jedna się skała piętrzy zuchwale;
A mech żółtawy przysechł na skale,
A śnieg odwieczny czoło jéj bieli,
I mierząc przed się przestrzeń daleką
Po nad spienioną panuje rzeką.

Więc Yadh (*) pod cieniem złożywszy głowę,
Rzeki i skały słyszał rozmowę.

SKAŁA

Próżno się na mnie pienisz zuchwale,
Daremnie dumna piętrzysz swe fale
I rzucasz w górę szumiące deszcze,
Gdy przyjdą słońca skwarnego spieki
Zmienisz łożysko, a ja przez wieki,
Jakem tu stała, stać będę jeszcze.

RZEKA

Ty łom kamienny piętrząc na łomie
Stoisz potężnie i nieruchomie,
I w sinych chmurach nurzasz swe czoło,
A ja po ziemi dążąc obszarach,
Przepływam Diarbek, Shivas i Marach;
I Adjezyrech opływam w koło.
Więc skądże pycha która cię łudzi?
Gdy się świat cały w koło mnie garnie,
Stoisz do miejsca przykuta marnie;
Ludziom nieznana, nie poznasz ludzi.

* * *

Słyszy to wszystko Yadh zadumany
I wzrokiem błądzi po mętnéj fali,
I widzi jako od brzegów w dali
Gęste się kurzu wznoszą tumany,
Środkiem kotłuje coś jakby w ulu,
Odpromieniając blask słońca złoty,
Widać wielbłądy, konie, namioty....
To karawana idzie z Mossulu
Do Bir.....

Na świętą Alego głowę,
Kupcy Mossulscy zasobni w złoto —
Widzicie pudła te sandałowe,
W nich są essencje z Damaszku. Oto
Balsam najdroższy w Hedżas kupiony,
W złotem okutych skrzyniach, i szale
Perskie, co w barw się mienią tysiące,
Materye z Bagdad złotem płonące,
Kobierce z Tauris lśniące wspaniale,
Purpura z Basry, srebrne opony
Tkane w Diarbekir w niewoli trudzie
Krwawym, szafiry płynące rzeką....
Kupcy z Mossulu bogaci ludzie! —

Ałłach jest wielki a Bir daleko.

A więc Yadh patrzy, patrzy i nagle
Pośród łun słońca zachodnich blasku,
Jak ptak co zwija swych skrzydeł żagle
Pochód przystanął i siadł na piasku.

Na widnokręgu, w pustyni głębi,
Bladawy obłok znów się zakłębi,
I kędy bystrém zasięgnąć okiém,
Wciąż się półkolem zbliża szerokiém;
I głuchy tentent do koła czyni,
I świeci jakby iskry w popiele —
Święty proroku! To są pustyni
Dzicy synowie — Khur na ich czele.

Powstańcie dzielne syny Ommjada,
Grozi wam wszystkim śmierć i zagłada
Chwyćcie za oręż! Dzisiaj walczycie
Za skarby wasze, za wasze życie.

Półkole wrogów ciągle się zwęża,
Wzniesionych włóczni grożąc żelazem;
Grom zagrzmiał, mąż to uderzył w męża
I oba szyki zwarły się razem.

Lecz próżne męztwo, próżna odwaga
Tam kędy dzika siła przemaga;
Ścieśnia się uścisk żelaznych splotów
I już głos Khura grzmi śród namiotów.

I znów ucichło ponad doliną,
Słońce się kryje za gór osłonę,
A fale rzeki powoli płyną,
Unosząc z sobą trupy skrwawione. —

Więc skała dumnie wznosząc swe czoło
Upokorzonéj te słowa rzecze:
„Trzebaż by plemię poznać człowiecze
Opłynąć całą ziemię w około?...“

Wacław Szymanowski.

(*) Yadh – osoba mistyczna, występująca często w legendach arabskich. — Yadh rozumie mowę zwierząt i całéj natury.

WIĄZANKA.

Chciałbym dziś z Wami, mili czytelnicy, rozpocząć tę pogawędkę od komplementu.... Tak.—Bardzo nam do twarzy gdy się bawimy, starym obyczajem, w właściwéj dla nas atmosferze, w własnéj barwie, — gdy się jako pokolenie Słowiańskie, kąpiemy w Słowiańskich zwyczajach, podaniach, obyczajach— uroczystościach.

Weźmy naprzykład Wigilją Ś-go Jana, w dniu 23-m Czerwca. — Toż to prawdziwa rozkosz dla wrażeń.

Dzień tajemnic — czarów, nadprzyrodzonych potęg, — dzień legend i demonicznych wpływów.

Lud wiejski w ciemném tle nocy obchodził *Sobótkę*. Po wsiach i miasteczkach, kędy ciągną się rozesłane ręką natury zielone kobierce łąk, wzbijały się w górę tysiące stosów ognia, sycząc tajemniczém płomieniem i wabiąc do siebie młodzież obojga płci. Tańce i śpiewy rozlegały się dookoła. Odważniejsi i śmielsi przeskakiwali przez płomień. Na ten widok myśli unosiły mnie gdzieś w otchłań zapadłych wieków, w patryarchalne czasy bałwochwalstwa i prostoty, ukazując jakieś prastare cienie Polan, Chorwatów, Lachów, Obotrytów, Lutyków, a obok nich święte pagórki i gaje, na nich posągi bóstw: Światowida, Radegasta, Jessego, Lelum-Polelum, Dziewanny, Marzanny — a przy nich kapłanów z harfami w dłoniach, a obok nich lud w dębowych wieńcach.

A Warszawa?

Żelazny most na Wiśle pysznił się pod niezliczonemi stopkami pięknych naszych syren, rzucających w głębokie jéj nurty swe różane *wianki*. Muzyka grała, serca w piersiach biły, rumieńce kwitły na liljowych liczkach, rączki drżały z niepewności losu. Puścić — nie puścić?... Puścić. Wianek spadł.—Spadł i utonął. Twarzyczka się chmurzy, blednieje—to zły znak.—Spadł i płynie. To dobry znak.... Oko ogniem błyszczy — dziewczę się cieszy, patrzy, chłopiec za nim pędzi na łodzi, dogania go — chwyta... Chwała Bogu!.. mąż pewny, jak dwa a dwa cztery. Nadchodzi noc. Tysiączne tłumy rozchodzą się do domów, jedni z nadzieją, drudzy bez nadziei losu. Jedni ze zdobytymi wiankami, kwiatami i sercami — drudzy bez wianków, bez kwiatów, bez serc— z zasępioną duszą, z zamgloną źrenicą— idą i patrzą w swą przyszłość, ciekawi rozedrzeć jéj ciemną zasłonę, ciekawi dowiedzieć się o niéj choćby od gwiazdki świecącéj na lazurach nieba, choćby od jakiego ptaszka, choćby od kwitnącéj w lasach cudownéj *paproci*.

Północ... Patrzmy, kwitnie czarowne ziele... Patrzmy — patrzmy... Cisza — spokój. Nie słychać nic, tylko jakiś roskoszny szelest, niby powiew wonnych anioła skrzydeł, z tęczowym promieniem gwiazdy na czole. To oddech dziecka w kołysce — to święty uścisk żony i męża—to pocałunek zakochanéj pary—to piosnka dziewczęcia — to westchnienie z pod łabędziéj, alabastrowéj piersi dziewicy—to miłosny szept dwojga serc, to sen ludzi pracy, nauki i trudu — to błyszczące bogactwo, szczęście i dostatki nasze — patrzmy, patrzmy—to prawdziwa *paproć*—to najpiękniejszy jéj kwiat.

Niech kwitnie jak najdłużéj.

A teraz przejdźmy do czego innego. Ale do czego? Ot, naprzykład, do wianka z atramentu. Co? co?. żarty czy kpiny? Przepraszam—to nie żarty. Taki wianek i ja puściłem na Wisłę, a puściłem go w świat - do was czytelnicy, wprawdzie nie różany, ale za to serdeczny i skromny, jak kwiatki pól naszych. Może go już macie, a może jeszcze nie. Jeżeli nie, jeżeli gdzie zginął albo utonął, to go wam opiszę, lub poszlę drugi taki sam. Dla pewności lepiéj wam go poszlę. Otóż i on. Poznacie go od razu.

Jest w nim kilka kwiatków. Na jednym z nich napisałem wam miłą wiadomość, że poezye ulubionego naszego T. Lenartowicza przełożył na język włoski p. Ettore Marucci, i wydał je we Florencyi.

Na drugim, — jak donosi *Wędrowiec*, napisałem. że pod Redakcyą St. Rzętkowskiego, wychodzić będzie, i to podobno niedługo, nowe pismo peryodyczne p. t. *Snopek*.

Na trzecim kwiatku pochwaliłem się, że Czesi, w jednym z ostatnich numerów swojéj illustracyi „Swietozor,“ zamieścili portret i życiorys zmarłego niedawno znakomitego naszego historyka J. Bartoszewicza.

Na innym znów podałem wam ważną nowinę, iż zawiązuje się obecnie na kilka powiatów blisko Warszawy położonych: *Towarzystwo wzajemnego kredytu*. Głównym celem takiego Towarzystwa jest dawanie pożyczek krótkoterminowych, osobom wszelkiego zatrudnienia, ale szczególniéj rolnikom. Przemysł i handel mając Bank Polski, Bank Handlowy i domy bankierskie prywatne, posiada już takie pożyczki. Jedno tylko rolnictwo, które ich najwięcéj potrzebuje, aż dotychczas nie mogło się zdobyć na ufundowanie sobie stosownéj instytucyi. Dziś dopiero zaczyna się i ono ruszać na téj drodze. Szczęść mu Boże! Towarzystwo udzielać będzie pożyczki na termina nie dłuższe nad 6 miesięcy. Każdy przystępujący do Towarzystwa i żądający pożyczki, obowiązany jest złożyć 10% żądanego kredytu w gotówce, a na resztę przedstawić bezpieczeństwo, bądź na wekslu, bądź na hypotece, lub na produktach rolnych oparte. Towarzystwo zaciągać będzie pożyczki od osób trzecich. A jako instytucya na pewnych podstawach oparta, otrzymywać je będzie za umiarkowanym procentem i na procent znów nie o wiele wyższy wypożyczać je będzie swym członkom. Jak wiadomo, za granicą, a szczególniéj w Niemczech i Szkocyi, podobnych instytucyj kredytowych jest mnóstwo. W Cesarstwie mnożą się ich w ostatnich czasach coraz to więcéj. Spodziewać się więc należy że one i u nas wzrosną wcale niepomiernie, a dobroczynnymi swymi skutkami wywrą jak najlepszy wpływ nie tylko na podratowie rolnictwa, ale i na podniesienie ogólnego dobrobytu.

Otóż i cały wianek. Mały, skromny i bez pretensyi — choć z atramentu.

Na zakończenie nie od rzeczy będzie jeszcze wiadomość, że Cesarskie towarzystwo lubowników nauk przyrodzonych wyassygnowało pewną kwotę, na koszta podróży w r. b. do Algerii, członkowi towarzystwa, professorowi zoologii uniwersytetu noworossyjskiego, p. *Miecznikowowi*, w celu biologicznych badań nad zwierzętami—

i że p. *Kosteńko* wydał w oddzielnéj książce opis podróży ruskiéj do Buchary, w r. 1870.

A teraz — pióro do nogi, i do widzenia—w przyszłym tygodniu.

△

TEATR.

(Pani de Chamblay, — Zuzanna i dwaj starcy).

....„Takie są początki każdéj sztuki dramatycznéj. Nieokrzesany człowiek zadowolony jest kiedy widzi jak się coś dzieje; ogładzony pragnie odczuwać, a rozmyślanie przyjemném jest tylko zupełnie wykształconemu.“

Goethe. — Wilhelm Meister.

I.

Kiedy zamierzamy kilka słów powiedzieć o takim utworze jak „Pani de Chamblay,“ słusznie pominiętym przez krytykę, lub traktowanym z należną obojętnością,—winniśmy czytelnikowi dać wyjaśnienie, dla czego sprawozdanie nasze zaczynamy od słów twórcy *Fausta*. Cytata, choćby najpoważniejsza, nie ocali lichego, tuzinkowego wyrobu. O obronę też tego dramatu bynajmniéj nam nie chodzi. Pragniemy raczéj przemówić *z powodu* „pani de Chamblay“... i świadomi naszéj nieudolności udajemy się pod potężną opiekę Goethego. —

„Pani de Chamblay jest sztuką tendencyjną; ze świadomością, czy też mimowoli autora, przedstawia jedną ze stron pewnéj tezy społecznéj.—Tendencyjność utworu scenicznego jest w koniecznym związku ze znaczeniem teatru, które znowu określa stanowisko i obowiązki krytyki. Zaprowadzając więc stałą rubrykę sprawozdań z ruchu scenicznego, pragnęlibyśmy jednocześnie wskazać grunt, z którego sumienie ani na chwilę ustąpić nam nie dozwala.

Nie myślimy tu bynajmniéj dowodzić rzeczy dawno dowiedzionéj, że teatr jest czynnikiem cywilizacyjnym; należałoby jednak naszém zdaniem porozumieć się, w jakim mianowicie stopniu scena ma udział w cywilizacyi danego społeczeństwa.

Kiedy Szyller wyrzekł, że „trybunał sceny zaczyna się tam gdzie się kończy sfera praw świeckich,“ — powiedział zawiele i zamało. Zawiele, ponieważ rozpowszechnił przekonanie, że teatr mocen jest poprawić i karać, a wobec jednakowéj ciągle summy dobrego i złego, osłabił wiarę w jego powagę moralną; — zamało, ponieważ zacieśnił poniekąd granicę jego działalności, czyniąc go więcéj sędzią słabości i namiętności ludzkich, aniżeli filozofem i myślicielem.

Goethe, jak zwykle głębszy, daléj i wszechstronniéj widzący, wieszczém okiem przebijający mgły przyszłości, w owych kilku wierszach z początku przytoczonych, zawarł najistotniejsze według nas określenie działalności sceny. Trzy fazy jéj rozwoju są poprostu trzema stopniami cywilizacyi, a obecna sztuka dramatyczna zdaje się właśnie przebywać krytyczne przesilenie, prowadzące ją z drugiego stadium do trzeciego, — z biernego prawie odczuwania, do płodnego w skutki rozmyślania. (Nachdenken).

Gdyby to „rozmyślanie“ zredukować tylko do czystego procesu spekulatywnego, — już i tak scena miałaby dostateczny tytuł do wdzięczności każdego społeczeństwa. Ciągłe utrzymywanie ducha ludzkiego w świecie myśli, wyszlachetnia go i nie dozwala zbrukać się w kałuży materyalnych instynktów. Ale rozmyślanie Goethego ma także swoję praktyczną doniosłość. Prawo krążenia myśli jest w świecie duchowym równie niezbitém jak w materyalnym prawo krążenia życia; dla tego też rozmyślanie, do którego daje popęd scena, wraca do sceny w postaci dzieła sztuki, którego zadaniem będzie znów pobudzenie do myślenia. Tym sposobem mamy przed sobą najdokładniejszy obraz oddziaływania sztuki na społeczność i odwrotnie.

Teatr zatém nie karze doraźnie, ani poprawia w mgnieniu oka, i tego nikt od niego wymagać nie ma prawa. Królując w dziedzinie psychicznéj, rozplątując najzawikłańsze węzły natury ludzkiéj, uczy się tylko zastanawiać, a zatém sądzić wszechstronniéj; wkraczając w sferę społeczną, *stawia kwestye* których rozwiązanie w przyszłości i pozagranicami sztuki ma nastąpić. Takie jest zdaniem naszem jego zadanie, — ani mniéj ani więcéj; ale wystarczy ono dla nadania scenie znaczenia pierwiastku cywilizacyjnego.

Czy taka kulturowa działalność teatru da się pogodzić z koniecznymi warunkami sztuki, czy ta celowość, tendencyjność zamkniętą jest *implicite* w samym procesie tworzenia dzieła sztuki?.... Odpowiedzi na to pytanie szukali w namiętnym sporze stronnicy dwóch teoryj: *sztuki dla sztuki* i *sztuki tendencyjnej*, i dotychczas, zdaje się, napróżno jéj szukają. Nie naszą rzeczą rozbierać tu argumenta pro i contra; dość zaznaczyć fakt, że grono hołdowników *sztuki dla sztuki* zmniejsza się coraz bardziéj, i że literatura tak powieściowa jak i dramatyczna odważnie kroczyć zaczyna w tym drugim kierunku, tak świetnie wskazanym przez Dumasa syna, w przedmowie jego do „Przyjaciela kobiet.“ — Tendencyjność bezwątpienia wydała mnóstwo miernych wyrobów; ale ile też ich liczy owa sztuka która sama w sobie cel swój ma zawierać?..

Ten stosunek teatru do społeczeństwa, określa też i stanowisko krytyki, nakazując jéj śledzić, jaki mianowicie jest kierunek owego rozmyślania, do którego pobudza dzieło sceniczne, i czy formy w które się przyoblekło odpowiadają wymaganiom sztuki.

II.

Wspomnieliśmy na początku że „pani de Chamblay“ stawia nam ważną kwestyą:—kwestyą *wiarołomstwa*. Nie pierwszy to raz traktuje ją na naszéj scenie literatura dramatyczna francuzka. — Czy i jak ta kwestya winna być u nas podnoszoną, — na te właśnie dwa pytania zamierzamy odpowiedzieć.

„U nas to niepotrzebne — u nas to rzadki wypadek, nasze społeczeństwo moralniejsze“ — oto zwykłe ogólniki z którymi się spotykamy, jeśli dziwnym trafem ta drażliwa a nader ważna materya gdziekolwiek jest potrąconą. Pozwalamy sobie postawić *veto* przeciwko takiemu pobieżnemu traktowaniu rzeczy. Pochodzi ono u nas najprzód z dziwnie jednostronnych pojęć o moralności, któréj bynajmniéj nie można zredukować do stosunku mężczyzny i kobiety,—bo ten stosunek jest tylko jednym ale nie jedynym objawem moralności; — a powtóre, z opłakanéj bojaźliwości nazwania rzeczy po imieniu, i zajrzenia w oczy chorobie.

Wymówiliśmy wyraz *choroba* i nie cofamy naszego określenia. *Wiarołomstwo* jest chorobą. Żadna społeczność nie jest od niéj wolną, a sledzenie jéj symptomatów, dotarcie do źródła złego, nie może i nie powinno być poczytane za błąd literaturze dramatycznéj lub powieściowéj.

Idzie tylko oto, w jaki sposób kwestya ma być stawiana; a dla rozstrzygnięcia tego pytania należy się przypatrzeć jak ją dotychczas stawiano. Wychodząc z powyższego określenia, literatura naśladowała powierzchowność sądu laików, w rzeczach zwykłéj medycyny, którzy nieświadomi przyczyn choroby przypisywali ją *usposobieniu*. Usposobieniem w chorobie społecznéj, zwanéj *wiarołomstwem*, była *niemoralność* trzech głównych działaczy tego domowego dramatu: męża, żony lub kochanka. Moglibyśmy przytoczyć tysiące przykładów, w których wszyscy trzéj winowajcy stawali kolejno przed trybunałem sceny. Nie sięgając zbyt odległych czasów, poprzestaniemy na przypomnieniu trzech komedyj: „Pani de Chamblay“, „Frou-Frou“ i „Naszych najserdeczniéjszych“ W pierwszéj mamy do czynienia z mężem pijakiem, graczem i brutalem; — w drugiéj z żoną, lekkomyślną, wietrznicą, pozbawioną szczypty uczucia;— w trzeciéj z kochankiem głupcem i nieuczciwym.

Pytanie teraz, co zyskuje moralność na takiém traktowaniu *wiarołomstwa*?—Według nas nic, zgoła nic. Dla massy publiczności, którą z fazy „odczuwania“ przeprowadzać dopiero należy do getowskiego „rozmyślania“, — wystarcza, jeśli patrząc na perypetje sceniczne, ma kogo obciążyć swém oburzeniem, lub może na kim zestrzelić całą swą sympatyą. Jeśli autor to głównie ma na celu, literaturze przybywa parę denerwujących scen więcéj, a widzom nie przysparza się ani jednego zdrowego pojęcia.

Należy więc kwestyą postawić na właściwym gruncie i mieć odwagę dowodzenia, że dramat *wiarołomstwa* może się odgrywać *między trojgiem uczciwych ludzi*. Takie traktowanie téj pełnéj zagadek materyi, ma przedewszystkiém tę wyższość że nam z przed oczów usuwa ostateczne wyniki namiętności, wyprowadza nas ze sfery zwierzęcych popędów, a przenosi w atmosferę szlachetnych uczuć; całe zaś wstrętne pojęcie *wiarołomstwa* redukuje do starcia tych uczuć wynikłego z tysiąca przyczyn tkwiących w pewnym danym nastroju społecznym.

Cała rzecz zresztą najprościéj się przedstawia. W tym nieszczęśliwym stosunku *we troje*, mąż zwykle uosabia porządek spo-



Illustracya do wiersza W. Szymanowskiego p. t. Z Mossulu do Bir (str. 211).

łeczny i obowiązki,—kochanek staje w obronie prawa do szczęścia; każdy z osobna przedstawiciel może być najmoralniejszym, a gdy i żona jest kobietą uczciwą, niezdolną do podziału uczuć,—gdy jednèm słowem akcya zestawia ze sobą ludzi wyższych, — sam z siebie musi się nastręczyć wniosek: że odpowiedzialność za tę kolizję obowiązków i praw nie leży w ludziach, ale głębiéj. Z tego punktu idąc po szczeblach sumiennego badania, dochodzimy do pobudek towarzyszących zawieraniu małżeństw,—a jeszcze daléj postępując zagłębiamy się w ustrój rodziny, domu, wychowania, i aż tam nareszcie zaród złego znajdujemy.

Tutaj wypada nam się zatrzymać. Powiedzieliśmy już, że rozstrzyganie kwestyi nie jest bynajmniéj zadaniem literatury jako sztuki. W téj bezustannéj walce o postęp, obowiązkiem jéj jest tylko ciągłe wysyłanie na zwiady rekonesansów, które giną zwykle w pierwszych utarczkach, — ale giną z tém przekonaniem, że pozostałe zastępy bojowników ostatecznie walkę na korzyść cywilizacyi rozstrzygną.

Nie wspominając wcale o naszéj literaturze, z powodów powyżéj przez nas przytoczonych, zupełnie prawie nie dotykającéj kwestyi *wiarołomstwa*,—nie możemy przemilczéć że sam Dumas (ojciec), który stał się winnym takiego dramatycznego grzechu jak „Pani de Chamblay”, dawno już, przed laty, obdarzył scenę niepospolitym utworem, reasumującym w akcyi dziwnie prostéj a dramatycznéj, podobne na tę kwestyą zapatrywanie się. Wszyscy pamiętają jakie wrażenie na publiczności wywołał dramat „Hrabia Herman”, jakie po wyjściu z teatru każdy miał pole do rozmyślań. Czy wznowienie tego dramatu nie byłoby większą przysługą dla ludzi zastanawiających się, aniżeli wystawianie lichéj nowości?

Kiedy obejrzymy się po dzisiejszych pisarzach francuzkich, nie możemy łudzić się nadzieją abyśmy prędko z czémś podobném spotkać się mogli.—Natura talentu George Sand, nie nakłania się do sceny; Feuilet chętnie wprawdzie zagląda do tych urwistych przepaści namiętności ludzkich, ale wybiera się na tę wędrówkę ostrożnie, w lakierkach i glansowanych rękawiczkach i lubi ażeby z otchłani dolatywał go zapach paczuli.—Sardou jest zbyt w bliskiém pokrewieństwie ze Scribem,—Augier za silnie cierpi na jezuitofobją; jeden może Dumas syn podołałby zadaniu. Z całéj obecnéj plejady dramaturgów, to jedyny istotny myśliciel, dopóki go oryginalny skład jego umysłu nie sprowadzi na bezdroża paradoksu.

Tymczasem musimy przestać na „pani de Chamblay“ która jako dzieło sztuki, prawie żadnéj nie ma wartości. Stary Dumas fabrykując te pięć aktów z powieści, w niczém sobie pracy nie zadał. Mamy tam wprawdzie cały zwykły przybór wiarołomstwa: młodą i piękną żonę, tyranizowaną przez męża łotra, trwoniciela swoich i nieswoich majątków; szlachetnego i rycerskiego kochanka, nabywającego przez miłość dla żony jéj ostatnią spuściznę, postawioną przez męża na kartę, — nareszcie przyjaciela kochanka, młodego prefekta drugiego cesarstwa, lubiącego trufle i melancholją, moralność i tekę ministeryalną,—jednego z tych dowcipnisiów z rodziny Desgenais, Desturnellów, Carniolich, Tolozanów, co to mają dla swych przyjaciół cały zapas rad, za któremi sami nigdyby nie poszli, — że już nie wspomnimy o drugoplanowych postaciach, prawie zupełnie do akcyi niepotrzebnych. Niczego tam nie brak, ani tradycyjnego spotkania się męża z kochankiem w pokoju żony, w akcie 4-tym, ani wystrzału z pistoletu, — ani palca opatrzności, w akcie 5-tym, jaśniéj mówiąc, kilku cali szpady wepchniętych w piersi męża przez przyjaciela kochanka. Ale wszystko to sklecone niedbale, z pewném lekceważeniem sztuki i publiczności; nawet dobre dyalogowanie nie jest tu zasługą,—bo dyalogi powiększéj części dosłownie z romansu są przepisane.

Całość trzymana ciągle w nastroju odpowiadającym temperaturze letniéj wody,— oddziaływa też na grę artystów, którzy komedją tę, nie wiemy dla czego, traktowali z jakąś uroczyście nudną powagą. Pani Rakiewicz, coraz cięższą staczająca walkę z niegiętkością swego głosu, nużyła jednostajnością dykcyi, i zaledwie w jednéj scenie (w 3-m akcie) kiedy przemawia do swego ukochanego o cieniach jego matki, potrafiła znaleść drogę do do serc publiczności. Pan Świeszewski był bardzo przyzwoitym prefektem: trochę więcéj sztywności administracyjnéj niezaszkodziłoby w wielu miejscach. Dyplomacya najprzód a potem polityka powinny już nieco krępować młodzieńczą żywość w ruchach prefekta; nie wykluczając wytwornéj salonowości, oba te przymioty przy walkach wyborczych drugiego cesartwa niepoślednią odgrywały rolę. — Panu Tatarkiewiczowi rola kochanka zupełnie się powiodła; rzewność i zapał w miarę potrzeby odnajdowały się w głosie młodego amanta, którego zachowanie się w salonie, postawa i ruchy nic nie pozostawiały do życzenia. Pan Grzywiński dobrze.... wystrzelił z pistoletu.

III.

Miesiąc Czerwiec nie odznaczał się bynajmniéj szczególnym ruchem repertuarowym. Oprócz bowiem wspomnionéj komedyi Dumasa, która dała nam sposobność do wyprowadzenia kilku uwag ogólnego znaczenia, pozostaje nam się do zaznaczenia jednoaktowa drobnostka Meilhac'a p. t. „Zuzanna i dwaj starcy“.

Ciągłe zapowiadanie i odkładanie tego wesołego żartu wystawiło może na próbę cierpliwość publiczności; ale jeśli tego wymagał taki stopień wykończenia szczegółów z jakim spotkaliśmy się na pierwszém przedstawieniu, wyznajemy, że nie mamy żalu do nikogo. A jest to właśnie jedna z tych produkcyj w których na wykończeniu wszystko stoi, które grane przez niedbałych artystów giną bez wspomnienia, bo ich nie ratuje ani zajmująca akcya, ani szczególny dowcip dyalogowy. Całe powodzenie „Zuzanny” spoczywa na barkach artystów, których pracy i inteligencyi pozostawione jest wydobycie komizmu z jednéj danéj sytuacyi.

Zasługa w tym razie artystów tém większa, że sytuacya bynajmniéj nowością się nie zaleca. Jest to w kilku scenach historya młodego lecz nad wiek zręcznego dziewczęcia, które przejęte wdzięcznością dla dwóch starych opiekunów, a mając już serduszko zajęte miłością dla młodego nauczyciela muzyki, musi się wywikłać z plątaniny zgrzybiałych afektów, roznieconych nagle w piersiach starców pod popiołami szóstego i siódmego krzyżyka. Dziewczyna ma jakieś dyplomatyczne intuicje; bo idąc za maksymą *divide et impera*, stara się o rozbudzenie zazdrości w sercu jednego z sędziwych aspirantów, a zawierzywszy loice namiętności, eksploatuje ją potém na korzyść swego ukochanego artysty.

Rola Zuzanny nie należy do trudnych; trochę kokieteryi, nieco przebiegłości, miarkowanéj istotném dla starców przywiązaniem,— oto wszystko czego w niéj potrzeba. Nic więc dziwnego że dla panny Popiel, któréj talent istotny i samodzielny, sprostał już nieraz większym trudnościom, rola ta była igraszką. Postacie starców to całe studia. Owa starość która w życiu tak łatwo i tak niepostrzeżenie dopełnia na nas tego co w języku zakulisowym nazywa się charakteryzacyą, — na scenie jest jedném z najtrudniejszych zadań. A cóż dopiero kiedy nie można poprzestać na zewnętrznych jéj cechach, choćby jak najlepiéj pochwyconych, kiedy trzeba prowadzić widza do głębin ludzkiego serca, i tam obznajmiać go z tajnikami egoizmu, głęboko wkorzenionego w naturze ludzkiéj, rozwiniętego celibatem, a spotęgowanego starością. Żółkowski wziął się do tego jak Żółkowski, tak jak stał, przypruszywszy włosy pudrem, i zbrojny tylko kilkoma kreskami, niezbędnemi do wywołania scenicznego złudzenia. A mimo to, taka jest potęga talentu, był starcem, był zgrzybiałym, był naiwnym w swéj dobroduszności, lub odrażającym w przystępach bezsilnéj namiętności. Pan Ostrowski dotrzymywał placu swemu koledze. Jego mieszczański sześćdziesięcioletni donżuanizm dobrze był odwzorowany. Wprawdzie zdolny ten artysta chwycił się środka, według nas, nic wspólnego ze sztuką nie mającego, ale za zasługę mu poczytać należy, że od raz obranego typu—nie oddalił się ani na chwilkę.

W. B.

PRZEGLĄD LITERACKI.

MOGILNA.

Obrazek spółczesny, przez J. I. Kraszewskiego.

Czasopismo Bluszcz poznajomiło nas niedawno z nową powieścią Kraszewskiego, pod tytułem: Mogilna.

Niewielki ten obrazek, na tle spółczesnego życia osnuty, należy do najświeższych prac autora, nie tylko z racyi chronologicznego porządku, ale bardziéj jeszcze z ducha i formy, z rodzaju treści i sposobu jéj przedstawienia. Ostatnie bowiem utwory Kraszewskiego, znacznie różne od tych które je o lat kilkanaście i więcéj poprzedziły, stanowią jakby nową fazę w jego powieściopisarskim zawodzie, nie powiemy wręcz przeciwną pierwszéj, ale całkiem do niéj

niepodobną. Nowy zasiew wzrasta obok dawniéjszego; barwy złagodzone w punkcie zetknięcia się nie uderzają przykrym kontrastem; chaosu tu nie ma, ale jednolitość także nie istnieje. W dawniejszych powieściach Kraszewskiego, z małymi wyjątkami, przeważał wzgląd na szczegóły obojętne dla zadań chwili; w późniejszych przemaga dążność solidarna z potrzebami czasu.—Pierwsze, w większéj części odznaczają się charakterystyką objektywną, refleksyą ogólną, drugie—stosunkiem swoim do życia, ideą społeczną. Odrębność znamion, nie zacierając powinowactwa, uwydatnia wszakże różnice obu kierunków.

Przystąpmy do rozbioru powieści.

Właścicielem Mogilnéj, majątku ziemskiego w Prusach zachodnich, jest p. Roman Mogilski, człowiek najlepszego serca, przykładny ojciec rodziny, uczynny sąsiad, ale obok tych zalet, łatwowierny do naiwności, nieoględny do marnotrawstwa, ociężały do niedołęztwa. Typ ciekawy, chociaż na nieszczęście, nie rzadki. Tacy ludzie, pomimo dobrych chęci, stają się niekiedy klęską dla swojego społeczeństwa. Sympatyczni w zwykłych towarzyskich stosunkach, są najczęściéj zawadą gdzie idzie o przełamanie twardych warunków losu, o wytrwałość w mozolnym obowiązku. Kraszewski znakomicie skreślił tę postać. Zajmuje ona niby drugorzędne miejsce, a jest osią obrotu powieści, węgielnym kamieniem jéj budowy. Przed Mogilskim ustąpić musi sam nawet Larisch, figura jaskrawa, egzotyczna i trochę nienaturalna. Mogilski—to ofiarny kozioł w najlepszym gatunku; nie klejnot, lecz cała kopalnia uczciwéj głupoty. W obec téj rodzajowéj doskonałości bledną dowcipne machinacye Larischa, a genjalny łotr przedstawia się w roli pospolitego oszusta. Dla Mogilskiego szkoda systematu,—on wpadnie w pierwszą lepszą zasadzkę. Tradycyonalne lenistwo nie dawało mu rozpatrzéć się w pozycyi, obmyśléć środków obrony, lub zejść zawczasu z niebezpiecznéj drogi. Zawiele zachodu! Inaczéj nie byłby nieodrodném dzieckiem... Mogilskich. Beztroska prowadziła go na oślep — nieudolność nie pozwalała wybrnąć z kłopotów. Historya sprzedaży praw dziedzicznych, za misę soczewicy, powtórzyła się tu co do joty. P. Roman dla sielankowego epikureizmu poświęca przyszłość swoję i (co gorzéj)—nie swoję, bo własnych dzieci, których do ubóstwa nie przyzwyczaił a wspólne mienie zmarnował. Przestrogi, oczywiste fakta, nic go nie wyrwało z apatji. Martwił się lecz pozostał bezczynnym, a w ostateczności obcinał poły żeby rękaw załatać. W swobodniejszéj znowu porze zapominał o długach i wierzycielach, o potrzebie zrównoważenia dochodów z wydatkami, zgoła o wszystkiém co nie tyczyło się przyjemności użycia. Zastajemy go właśnie na początku powieści pod wpływem takiego usposobienia. Jak mógł nawet troszczyć się o jutro gdy obecna chwila roztaczała przed nim tyle powabów? Wspaniały dom, wygodnie urządzona *verenda*, tchnienie wieczoru, a dobra żona, a syn, a córka, a poziomki ze śmietaną, a tłuste kurczęta z sałatą! Nie, dla tkliwéj duszy patriarchy był to widok zanadto rozrzewniający. Przełknął łzę i westchnął...

— Co ci jest? spytała małżonka.

Mogilski pospieszył zaspokoić ciekawość pani Anny. Myślał on sobie... co to będzie, gdy kiedyś ich syn Witold ożeni się, a córka Kazia wyjdzie za mąż!..

Syn Witold i córka Kazia nie podzielali naturalnie smutnych przeczuć p. Romana. Młodzieniec postarał się wytłumaczyć ojcu że nie należało przewidywać stąd żadnych złych następstw, a Kazia z zapałem potwierdziła zdanie braciszka. Stary uspokoił się i kazał nalewać herbatę.

Tak się wyrażały obawy p. Romana o przyszłość. To co było w niéj rzeczywiście groźnego nie zwracało jego uwagi. Opieprzał on poziomki idealną goryczą, dramatyzował sielankę po swojemu. W skutek téj przezorności cała rodzina z pod *verendy* przenieść się wkrótce musiała pod dach obcy.—Własnego zabrakło!

W sprawach majątkowych zarówno jak i w sądzie swoim o ludziach Mogilski był optymistą, lecz optymizm p. Romana, pochodzący z połączenia dwóch arcyniepraktycznych pierwiastków, lekkomyślności i sentymentalizmu, nie dochodził nigdy do stopnia energii, do stanu czynnéj odwagi. Mogilski drzémał rozkosznie nad przepaścią, a otworzywszy oczy dawał folgę zawrotowi, pociągając za sobą najukochańsze osoby. Dla Mogilskiego wszyscy mieli jednakowe cnoty, — ufał złym i dobrym, zdając się na łaskę Opatrzności. Rządził się zawsze szlachetnym popędem, ale rzeczywistych przekonań nie miał. Może nawet nie wiedział jaką drogą ludzie przychodzą do tego nabytku. Nabytek ten zresztą, gdyby sam spadł z nieba, nie ucieszyłby wcale p. Romana.—Kriterium obowiązuje do zastanawiania się nad sobą i nad innymi, a Mogilski zastanawiać się nie lubił. Z tych rysów jego charakteru i umysłowości przegląda nie orygilnalność jednostki, ale ułomność całego typu,—pewien rachityzm zbiorowy, owoc najgorszych stron, najlepszego na pozór wychowania. P. Roman, ofiara skrzywionych pojęć o zasłudze, łączy przymioty sprzeczne w krańcowych odcieniach, ale zdolne do kombinacyi z sobą. Jest nią czułostkowość egoizmu. Mogilski kocha wiele, namaszcza się na miłość od razu, jakby przeczuwając że z nienawiścią nie byłoby mu wygodnie. Cisnąc do serca każdego kto się nawinął, zdaje się zastrzegać w duszy: widzisz, kocham cię... dajże mi spokój święty!

Christian Gottlieb Amadeusz von Larisch, *bête noire* powieści, poznał się doskonale na p. Romanie. Chociaż sąsiedzi — długo nie zbliżali się do siebie; aż pewnego dnia Larisch zjawił się niespodzianie w Mogilnéj. Przyjęto gościa uprzejmie, bo nikt z obecnych nie mógł domyślać się podstępnéj myśli w odwiedzinach sąsiada.

P. Radca Larisch czyhał na Mogilnę. Miał on niewinną ale bardzo rozwiniętą słabość ciągłego zaokrąglania swych posiadłości; a że właśnie Mogilna z kolei przypadała mu do planu, postanowił, bądź co bądź, wyrugować z niéj właściciela. Dla tego zaś, żeby zamienić postanowienie w czyn dokonany, potrzeba było ująć najprzód p. Romana zręcznem pochlebstwem, obałamucić udaną dobrodusznością, znaleść sposobność wplątania go w kabałę, zmusić do szukania pożyczki, narzucić mu swój kapitał, a potém, poderwawszy dłużnikowi kredyt, zażądać nagle zwrotu funduszów i przy spodziewanéj niemożności uiszczenia się wystawić Mogilnę na licytacyą. Rozległość planu nie zastraszała p. Radcę.—Otoczył Mogilskiego siecią intrygi i w końcu zrobił swoje. Żeby zasłonić się przed opinią publiczną, użył ręki swojego syna na zadanie ostatniego ciosu sąsiadowi. Syn, a nie ojciec, cofnął fundusze zamieszczone na Mogilnéj, i to niby na przekorę ojcu, z którym (jak mniemano) żył w nieprzyjaznych stosunkach.

Wyznanie wiary Larischa uwieńcza jego uczynki.

„Dotąd wychowywałem cię (mówi do syna) nie odkrywając ci myśli moich, bom pragnął ażebyś je sam w sobie życiem wyrobił. Czuwałem nad tém, aby ich genezę ułatwić. Ani ja, ani ty, idealistami nie jesteśmy, ale ludźmi z mięsa i kości, którzy zadanie życia i środki wiodące do spełnienia go pojmują jasno. Człowiek stworzony jest, aby wedle siły posiadanéj ludźmi na korzyść swą owładnął, a bezwiednie ideę, która społeczność jak do niéj należy ożywia, urzeczywistnił. Po za tém są mrzonki tylko. Ideę społeczności, rzecz o któréj piecza nie do nas należy, wyrabia prawo ogólne. Do nas należy pozyskać, jak największą siłę i jak największą summę niezawisłości a potęgi. Potęgą tą, w warunkach bytu społeczeństw dzisiejszych, jest pieniądz —mienie. Bez niego nic. Geniusz redukuje się do talarów i przedstawia kapitał tylko... Mienie, to panowanie".

W téjże rozmowie z synem Larisch probuje usprawiedliwić swoje postępowanie z Mogilskim, następującą restrykcyą.

(Dokończenie nastąpi).

DRUGA MIŁOŚĆ.

POWIEŚĆ

JULJI KAVANAGH.

TOM I.

(Dalszy ciąg).

Sybilla spoglądała nieco zakłopotana. Wątpiła mocno iżby ojciec jéj pozwolił pannie Glyn cośkolwiek poprawiać w Saint-Vincent. Ale Miss Glyn objęła rządy i nie wątpiła już ani o swojéj władzy, ani o zdolnościach. Wistocie, olbrzymia była jéj pewność siebie. Gdy więc pani Mush, odpoczywszy nieco, zeszła na dół zarumieniona, Miss Glyn pełna była dla niéj uprzejmości i względów.

— Pozwól filiżankę herbaty, mistress Mush, powiedziała, to ci bardzo posłuży.

— Dziękuję ci, Maryo. Wyjechałam po śniadaniu.

— Czy chcesz obejrzeć dom, pani Mush? To cię rozerwie.

— O, zajrzałam już wszędzie. Podoba mi się ten klasztor, Sybillo — takie zacisze...

— Możebyś chciała tam posiedzieć — a możebyś wolała w ogrodzie? nalegała ciągle Miss Glyn z uprzejmością. — Sybillo, każ wystawić krzesła do klasztoru — pani Mush ma ochotę...

Pani Mush z dobrym humorem przyjmowała taką protekcyą Miss Glyn, a Sybilla rada była tak dobréj zgodzie. Pobiegła więc i sama zaniosła krzesła, potém robótkę Miss Glyn, potém robótkę Mistress Mush, potém swoję, i zasiadła wraz z dwoma paniami w cieniu galeryi klasztornéj.

Pięknie przedstawiał się oczom Sybilli klasztor ze swemi ostro odbijającemi światłami i cieniami, ze starym, szarym krzyżem i wysoką, cienką trawą, wypuszczającą z każdéj szczeliny, z bratkami które wyrosły na jednym końcu dachu i za każdym powiewem wiatru chwiały się na tle błękitnego nieba, niby złote i złotym promieniem słońca oblane. Oh! gdyby tylko ciotka Glyn i pani Mush mogły się zgodzić i pozostać w Saint-Vincent. Kennedy, który nagle wszedł do galeryi, z przyjemnością ujrzał córkę swoję siedzącą pomiędzy dwoma paniami, których towarzystwo mogło jéj wyjść tylko na korzyść i nadać gustu do zajęć kobiecych, które lubiła zaniedbywać, woląc czytać w bibliotece lub puszczać się na samotne przechadzki. Jak pięknie, przyzwoicie wyglądała teraz z koszyczkiem z włóczką i krosnami. Nie mógł się wstrzymać od upatrywania kontrastu między nią a panną Glyn i panią Mush. Pierwsza siedziała prosto w krześle, szyjąc z determinacyą nie darowania ani chwilki czasu; druga przechyliła się w tył i podnosiła igłę w górę, tak jak gdyby czuła jéj ciężar. Sybilla tylko była żwawa i pracowała tak jak gdyby jéj to nie przyczyniało żadnego znużenia. Siadł więc na najniższym stopniu krzyża i patrzał na nią z rozkoszą, a p. Smith, który także przyszedł, siadł obok niego i patrzał na ceglasty czepeczek Miss Glyn, z nieukrywanym wstrętem.

— Co to za ładny wzór, Sybillo! rzekł Kennedy, patrząc na robotę córki.

— Przepyszny wzór — odpowiedziała Sybilla, — Blanka mi go dała.

— Blanka! — kto to taki? żwawo zapytała miss Glyn.

— O! ideał — nauczycielka, w któréj Sybilla na śmierć zakochana, odpowiedział Kennedy.

— Jest ideałem — emfatycznie dodała Sybilla.

— Bardzo ładna, rozumie się?

— Ładna! — piękna zupełnie.

— Rozumna i ukształcona?

Sybilla ściągnęła piękną buzię do uśmieszku mającego znaczyć:

— To się wie.

— I miła?

— Najsłodsze, najlepsze i najdroższe stworzenie pod słońcem, zawołała Sybilla z takim zapałem, że jéj aż łzy wzruszenia zabłysły w ciemnych oczach.

— Banialuki — krótko odpowiedziała miss Glyn.

Sybilla spojrzała z oburzeniem; ale mistress Mush dorzuciła wesoło:

— Moja droga, to są banialuki. Widzisz, wszyscyśmy przechodzili tę chorobę. Jest to cudowne wezbranie czci, uwielbienia i ubóstwienia w młodém dziewiczém sercu, którego wylew musi nastąpić. Musi się znaleść bohater lub bohaterka, jakaś anielska istota, przy któréj reszta ludzi jest tylko szumowiną,—a ty jesteś właśnie w epoce téj choroby. I tak powinno być moja droga — dodała z spojrzeniem dobroci — tylko strzeż się przebudzenia — moje kochanie, strzeż się przebudzenia.

— Ciekawam zkąd ona to wie — myślała miss Glyn, zazdroszcząc jéj sekretnie. Zazdrościła bowiem, o ile jéj szlachetna natura na to pozwalała, wpływu pani Mush. Było to to samo co jéj „banialuki", a jednak daleko delikatniéj wyrażone. Sybilla jednak poddać się nie chciała.

— To nie banialuki — powiedziała — Blanka *jest* wszystkiém tém co powiadam.

— Ileż ma lat?

— Dwadzieścia cztery i dziesięć miesięcy skończy w przyszły czwartek.

— Wié nawet jéj dzień urodzenia — rzekła miss Glyn.

— No, Sybillo, dajże nam teraz dobry opis téj pięknéj pani. — Że jest piękna, wiemy już o tém.

— Wysoka i bardzo ujmującego wyrazu twarzy.

— Ma niebieskie oczy — niezawodnie?

— Prześliczne niebieskie oczy, nos prosty i słodki uśmiech. Cerę różaną a zęby jak sznury pereł.

— Zupełnie jak woskowa lalka w fryzyerskiéj wystawie — wtrącił Smith.

Sybilla rzuciła nań pogardliwym wzrokiem, a Kennedy rzekł, łagodząc starcie:

— Nie, nie, prawdziwa piękność. A teraz Sybillo wylicz jéj umysłowe zalety.

— Są one bardzo wielkie! rzekła Sybilla z zapałem — serce zaś równie ma szlachetne!

— Charakter łagodny?

— Bezwątpienia.

— Zdaje się, że już nic nie masz do nadmienienia?

— Mam jeszcze! Blanka Cains pochodzi z dobréj familii.

— Ale uboga; inaczéj nie byłaby nauczycielką muzyki w Brompton. A zatém Sybillo, jéj piękność, wykształcenie, dobroć etc, etc, wszystko to nie zaważy ani łuta na szali życia, gdy nie ma pieniędzy. A ty moja mała, choć niezbyt piękna, ani dowcipna, z ostrym języczkiem a żywym temperamentem, bez wysokiego urodzenia, ale z dobrze zaokrąglonym posagiem, z pewnością przeważysz kiedyś swoję anielską, ukształconą, dobrze urodzoną Blankę Cains.

Słysząc taki sąd, Sybilla zarumieniła się aż po uszy i rzuciła okiem prawie wyzywającém.

— Wiém, że wszyscy są uprzedzeni przeciw drogiéj mojéj Blance — zawołała z uczuciem — ale nie dbam oto, i zawsze będę ją cenić wysoko. Powiedziawszy to miss Kennedy zabrała swoję robotę, włóczkę, i nie zważając na upadły kłębek, który rozwijał się w miarę jak szła, skacząc za nią po flizach klasztoru, oddaliła się z wielką powagą.

Kennedy rozśmiał się, miss Glyn zdawała się być obrażoną, a pani Mush, patrząc zamyślona za Sybillę, rzekła:

— Biedna mała!

— Mała złośnica! dodał Kennedy.

— Nie — ale młoda — bardzo młoda, odpowiedziała pani Mush. Nie wiecież że młodzi i starzy używają jednakowych wyrazów, a nie mówią jednym językiém? Mówicie że przykro gdy kto znajduje się sam między obcymi. Młodzi są zawsze między obcymi. Ci ich potrącą, ci skrzywdzą, ci obrażą, ci okradną nawet. I my tu wszyscy drażniliśmy to biedne dziecko. Miss Glyn powiedziała „banialuki." Ja ostrzegłam ją, że przyjaciółka okaże się fałszywą, a pan Kennedy wskazał jéj że całą wartość stanowią pieniądze. A co najgorsza my wszyscy mamy w istocie takie przekonania.

Kennedy uśmiechnął się. Tak, on miał takie przekonanie. Pyszny był, i ażeby kto inny nie przypomniał mu o niskiém jego pochodzeniu, sam zawsze o niém wspominał z pewnym rodzajem wyzwania. Był dorobkiewiczem i pysznił się z tego. Bogactwo uważał za najwyższe dobro, ponieważ świat je miał za to. Nawet uwielbiał prawie to nieszlachetne bóstwo. Pysznił się ze swojéj córki, ale wiedział, że świat nie zwracałby na nią uwagi, gdyby nie była bogata. To też na wpół zgadzał się ze zdaniem świata, na wpół gardził jego wyrokiem.

Podczas gdy pani Mush filozofowała, a Kennedy słuchał jéj płynnéj wymowy, wojna szła na dobre między miss Glyn i panem Smith.

Miss Glyn rozpoczęła kroki nieprzyjacielskie, popatrzywszy na pana Smith obojętnie a potém ignorując go zupełnie. Smith jakkolwiek nie wytwornych obyczajów, był wrażliwy; a ponieważ czepek panny Glyn coraz bardziéj mu się nie podobał, postanowił więc wmięszać się do rozmowy i wyrazić swoje niezadowolenie. Uczynił to właśnie wtedy gdy Sybilla wracała z nowym kolorem włóczki, po który niby poszła.

— Czy pani kiedy byłaś w Yorhshire, panno Sybillo? zapytał Smith.

Sybilla chłodno odpowiedziała, że nie zna téj okolicy.

— W tamtéj stronie dziewczęta bardzo lubią kolór cielisty — powiedział Smith.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Wydawczyni, Kazimiera Mosch. Дозволено Цензурою 21 Іюня (3 Іюля) 1871 г.— Redaktor Franciszek Gumowski.

w Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. *b*.